

Kreatywność jest niewygodna

13 czerwca 2015

Studenci nie potrafią wchodzić w spory. Nie nauczono ich mówić: mam inne zdanie. Miałem kiedyś jednego, który za każdym razem wchodził w spór, ale trafił do szpitala psychiatrycznego. Roman Kurkiewicz jest dziennikarzem, lewicowym aktywistą, wykładowcą w Collegium Civitas, prowadzi zajęcia z warsztatu prasowego oraz literatury faktu. Rozmawia z nim Malina Błańska.

– Od 10 lat jest Pan wykładowcą w warszawskim Collegium Civitas, wykładał Pan również na Uniwersytecie Warszawskim. Jako absolwentka tej uczelni wspominam Pana jako człowieka, który powtarzał: kto powiedział, że nie wypada? Rzadko spotyka się pedagoga, który namawia studentów do łamania zasad. Ale poza tym, Pana zajęcia polegają na uczeniu studentów pisanie i czytania. Mogę tak powiedzieć?

– W zasadzie tak.

– Po co? Jak to możliwe, że stare konie, jakimi są studenci, po wielu latach edukacji nie pozyskali tych tak elementarnych umiejętności?

– Moi studenci, jak i reszta ich rówieśników, są tworem kilkunastu lat wysiłków polskiego systemu edukacji. To szkoła posłuszeństwa, która wyrobiła w nich schematy działania zadaniowego, nakierowanego na zdanie testu. Są w tym bardzo dobrzy. Kłopot pojawia się, kiedy na moich zajęciach umiejętności te okazują się całkowicie nieprzydatne.

– Pamiętam, jak wymagał Pan od nas podania na przykład definicji słowa pogoda.

– Próbuję na studentach wymusić pisanie. Uczniowie są do tego nieprzyzwyczajeni, piszą okrągłymi zdaniami, używają oficjalnego języka, takiego ugrzecznionego, absolutnie

fałszywego. Kiedy o tym rozmawiamy, tłumaczą: ale tego od nas wymagano. Nasz rodzimy system szkolnictwa generuje poddanych obywateli, idealnych do życia na przykład na Białorusi, posłusznych i wykonujących polecenia. Nie przykładają się do rozwoju kreatywności, bo ona jest niewygodna w zarządzaniu. Najistotniejszym zadaniem, które stawiam przed sobą, jest nauczanie, że mają prawo się nie zgadzać, że mają prawo bronić własnego zdania. W szkole wtłoczono im zakaz mówienia „nie”, więc się nie buntują. Bunt jest zakazany, więc się podporządkowują, pozostaje w nich jednak poczucie bycia oszukany. Zauważają, że nie nauczono ich prowadzenia sporów, tylko kontestowania tego co dostają. Na drodze tych doświadczeń nauczyli się korzystać ze ściąg, skrótów, streszczeń.

– Zaadaptowali się.

– To jest podstawowa cecha inteligencji. Adaptują się do warunków, w których mogą przejść kolejny test. Zdawanie testów jest umiejętnością i niczym więcej. To jest jak rozwiązywanie krzyżówek: to, że ktoś potrafi rozwiązywać krzyżówki, nie znaczy, że jest erudyta, potrafiącym pięknie nazwać jakieś zjawisko. Uczniowie uczą się tak, żeby zdać test. Nie, żeby zrozumieć, poszerzyć wiedzę, zanegować. Nigdy nie byli chwaleni za sprzeciw względem głównego nurtu.

– A Pan ich chwali?

– Mam taką ulubioną anegdotę o studencie, który kłócił się ze mną na każdych zajęciach...

– Dla sportu?

– Nie. Po prostu w niczym się ze mną nie zgadzał. Bardzo się różniliśmy poglądami. Ale zawsze potrafił bronić swojego stanowiska. Anegdota zaczyna się w momencie, kiedy doszło do zaliczenia. Przyszedł z rękoma spuszczone do kostek, głową zwieszoną do pępka, przekonany, że go obleję.

– Co Pan mu wstawił?

– Najwyższą ocenę. Nie mógł wyjść ze zdumienia. Powiedział: przecież ja się z panem nie zgadzałem... Wytłumaczyłem mu, że to było coś najcenniejszego, co mogło nas spotkać. Dzięki jego umiejętności bronięcia swoich racji, cała grupa się rozwijała. Pokazywał wszystkim, jak budować własną linię argumentacji. Dla niego docenienie tego było niewyobrażalne i nielogiczne. Potem okazało się, że jest chory psychicznie. Wylądował w szpitalu psychiatrycznym.

– Czyli jedyny, który zachowywał się normalnie, okazał się świrem. Dekadę temu, gdy zaczynał Pan pracę pedagoga, żyliśmy w innym świecie. Jakie zmiany w absolwentach dzisiejszych liceów Pan zauważa?

– 80 proc. studentów podczas zajęć nie rozstaje się z telefonem komórkowym, czy tabletem.

– Prowadzi Pan zajęcia, mówi do nich, a oni nos w telefonach? Bez skrepowania?

– Tak. Bez przerwy mają kontakt z urządzeniem elektronicznym. Wszyscy są w sieci.

– Jak Pan z tym walczy?

– Umiarkowanie. To byłaby walka z wiatrakami. Właściwie traktuję to jako swoją obserwację. Uzależnienie od sieci przybiera już formy chorobliwe. Miałem studenta, bardzo dobrze piszącego, świetnie rokującego. Podczas kolokwium nie był w stanie odłożyć telefonu. Cała grupa odłożyła, a on nie mógł się z nim rozstać. Osiągnął taki stopień uzależnienia, że dla niego to było niewyobrażalne. Przy czym nie mówimy o leserze. To był uczeń, który przychodził na 99 procent wszystkich zajęć. Systematycznie wpatrzony w ekran komputera czy tabletu.

– Jakie zadanie dostał na kolokwium? Może go przerosło?

– Miał opisać kamyk.

– Słucham?

– Zadanie brzmiało: podaj definicję kamyka. Chodziło o coś, czego nie da się ściągnąć z Wikipedii. Choć było do rozwiązania nieprzydatne, nie był w stanie rozstać się z urządzeniem.

– A może Pan ich nie rozumie? Może bariera wieku jest zbyt silna?

– Też tak myślę. Nie łączą nas już wspólne lektury, obejrzone filmy. Całkiem inaczej doświadczamy wiedzy o obecnym świecie.

– Może powinien Pan szukać inspiracji w innych dziełach, na przykład w kodeksie drogowym. Wszyscy go przeczytali.

– To dobry przykład. Pamiętam zajęcia, na których – próbując uzyskać wysoki poziom zaangażowania studentów – poprosiłem żeby napisali tekst na temat, który emocjonuje ich tak bardzo, że byliby w stanie krzyczeć z wściekłości. 90 procent tekstów było o tym, że inni ludzie źle prowadzą samochody. Mówię poważnie: 90 procent ludzi, z których większość nie ma prawa jazdy i nie jeździ samochodami, budzi swoją wrażliwość głównie na drodze.

– A jak z czytaniem? Też kuleje?

– Obserwuję radykalny, odczuwalny, niemal powszechny poziom wzrastającej niechęci do czytania. Są pojedyncze osoby, które są gotowe przeczytać książkę większą niż 300 stron. Są nawet takie, które potrafią przeczytać w ciągu dwóch tygodni książkę objętości 500 stron, ale oni należą do wyjątków. Obecnie nie obserwujemy doświadczania książek pokoleniowych, lektur pokoleniowych. Dzisiaj właściwie jedyną książką, która pojawia się w takim kontekście jest „Harry Potter”, czasami „Hobbit”, ale one też nie łączą wszystkich. Myślę, że to jest główna choroba obecnej edukacji.

– Kanon lektur, który w dużej mierze dopuszcza dowolność

doboru lektur wymaganych od uczniów, kipi betonem. Nauczyciele, tak jak uczniowie, lecą na brykach: omawiają lektury, o których wiadomo, że mogą wystąpić w teście kompetencji. Po takiej lekturze i takim sposobie omawiania chce się rzygać na widok książki.

– Dzisiaj percepcję dzieła literackiego weryfikuje się niestety testem. Gimnazjalista czy licealista ma wiedzieć, kto kogo odwiedził, za kogo wyszedł, kogo zabił, kto został oszukany. Nie wymaga się od nich nazwania, co wynika z klimatu opowieści, na co ona otwiera oczy, co kontestuje, co pochwała, jaki model życia buduje. Czytają więc o światach, których nie znają, nie rozumieją. W języku, który jest dla nich absolutnie archaiczny i muszą o tym rozmawiać w sposób, którego uczą się na pamięć. Po to, by odtwarzać automatycznie. Nie ma tam miejsca na własną refleksję. Co więcej, za autorską interpretację tekstu uczniowie są karani – a to znaczy, że zabijamy to, co w samym procesie czytania jest największą wartością. Przecież każdą książkę możemy czytać i rozumieć na wiele sposobów, używając argumentacji, by bronić swojego sposobu odczytania. Nie ma jednego sposobu odczytania jakiegokolwiek książki. Na tym polega całe życie intelektualne.

– Nic dziwnego, że sięgają po streszczenia.

– Byliśmy niedawno świadkami wymiany zdań na temat wypowiedzi szefa FBI, który niezbyt dobrze – według Polaków – zinterpretował polskie uwikłania w konflikt polsko-żydowski w kontekście Holokaustu. Można zadać pytanie: jak uczyć o Holokauście?

– Jak to jak? Kanon rzeczy: „Medaliony” Nałkowskiej, „Zdażyć przed Panem Bogiem” i „Proszę państwa do gazu”.

– A Pani zdaniem można używać komiksu Arta Spigelmana do nauki o Holokauście?

– Art Spiegelman jest amerykańskim artystą, Żydem. Jego ojciec był więźniem obozów zagłady. Spiegelman opisał historię

Holokaustu w formie komiksu...

– Jest to opowieść, w której Żydzi są myszami, naziści kotami, Polacy są przedstawieni w formie zwierząt zwanych popularnie świniami, co oczywiście od razu odrzuca – ale w opinii fachowej mamy do czynienia z rodzajem arcydzieła, które na pewno wykracza poza formułę tego, że świnie są brudne i wstyd być świnia. Jednak opór wobec tego, żeby o Holocauście mówić, uczyć, opierając się na komiksie jest tak duży, że wyklucza jakąkolwiek dyskusję. Nie jestem zwolennikiem zamieniania wszystkiego w obraz, ale uważam, że nie każdy musi lubić czytać i rolą pedagoga jest znalezienie formy, którą mimo wszystko przekaże uczniowi historię niezbędną do kształtowania opinii o świecie.

– Czy istnieje alternatywa skostniałego systemu polskiej edukacji?

– Istnieje, ale wymaga od nauczycieli aktywności. Gdybym miał wskazać, jaki model edukacji jest najbardziej anachroniczny, lekceważący wiedzę o funkcjonowaniu mózgu, to wskazałbym właśnie ten praktykowany w Polsce. Pomysł, by małe dzieci godzinami siedziały w ławkach, bez ruchu, nie odzywając się, skupione totalnie – jest chory. Niestety, każdy inny typ edukacji wymaga większego wysiłku od nauczycieli. I, z drugiej strony, większych nakładów ze strony państwa. W związku z tym, zmian żadnych nie ma. A jednocześnie musimy zdać sobie sprawę, że Polska jest na etapie cywilizacyjnego regresu, w którym inwestujemy miliardy złotych w zakup złomu zbrojeniowego, na który nie będziemy mieli żadnego wpływu, bo nie dostaniemy kodów źródłowych do rakiet Patriot. Zostaniemy sprowadzeni do roli małpy naciskającej guzik. Jednocześnie zamykamy szkoły i zwalniamy nauczycieli ze względu na niż demograficzny. To są apryzsłósciowe, kontrproduktywne rozwiązania. Nie da się tego nazwać inaczej, jak zbrodnią na edukacji. A przecież można wykorzystać fakt, że im mniej uczniów w klasie, tym będą mieli lepszą opiekę, lepszą naukę i zwiększoną uwagę nauczyciela. Ale wszyscy to lekceważą.

– Wszyscy krytykują polskich absolwentów. Również pracodawcy, którzy chórem narzekają na system edukacji, w ich opinii produkujący jałowych pracowników.

– To bardzo interesujące. Prywatni przedsiębiorcy oczekują, że państwo wykształci im gotowych pracowników, roboty do funkcjonowania w ich firmie, pod ich kierunkiem, wpasowanych w hierarchiczną strukturę. Parę lat temu zwiedzałem fabrykę Volkswagena w Niemczech. Pracownik na taśmie montażowej jest legendarnym symbolem ogłupiającej pracy. Nudnej, monotonnej. Tam jednak system pracy jest taki, że każdy pracownik potrafi pracować na każdym etapie produkcji, a nie tylko na taśmie. De facto każdy z nich jest w stanie samodzielnie złożyć cały samochód. Tylko, że nauczanie go tego trwa 2 lata. I przez te dwa lata taki uczący się pracownik dostaje pensję. To jest inwestycja zakładu pracy.

– Mówiliśmy o tym, co było 10 lat temu i o tym, co dzieje się w polskim szkolnictwie dziś. A dokąd to zmierza?

– Żyjemy w czasach, w których przyszłość pracy jest taka, że będzie jej coraz mniej. Właściwie praca będzie przywilejem – a to znaczy, że będzie tylko dla bogatych, którzy mogą być dalej bogaci. Inni nie będą mieli pracy. A w tych dziedzinach, gdzie praca jeszcze będzie – będzie się ciągle zmieniała. Sytuacja, w której człowiek przepracuje całe życie w jednym zawodzie, będzie dotyczyła bardzo wąskiej grupy ludzi. Większość zatrudnionych będzie musiała się uczyć albo nowego zawodu, albo nowych sposobów uprawiania zawodu dotychczasowego, bo wymusi to zmiana technologiczna. Dlatego dzisiejsza szkoła powinna myśleć o swoich uczniach jak o ludziach, którzy będą zmuszeni do częstego przekwalifikowywania się. Ludzie muszą być gotowi do ciągłego uczenia się. Inaczej staniemy w miejscu.

Z Romanem Kurkiewiczem rozmawiała Malina Błańska

Źródło: Strajk.eu